

waldi0055



MIKE RESNICK

**Czterdzieści
trzy dynastie
antaryjskie**

Resnick Mike

Czterdzieści trzy dynastie antaryjskie

The 43 Antarean Dynasties

Aby podziękować Stwórcy Wszystkich Rzeczy za narodziny pierwszego męskiego potomka, cesarz Maloth IV nakazał architektom wznieść świątynię, która po wszystkie czasy przyćmiewałaby swą wielkością pozostałe budynki na planecie. W całości miała być zbudowana z kryształu, a jej dach, pokryty iglicami wyglądającymi niczym milion lśniących grotów włócznie wymierzonych w słońce, miał spocząć na dwustu siedemnastu kolumnach, upamiętniających dwustu siedemnastu przodków władcy. Każda z kolumn, uderzona, miała rozbrzmiewać dźwiękiem niosącym się na kilometry i używającym wiernych do modlitwy.

Budowla miała być znana jako Świątynia Uświęconego Słońca, gdyż dziedziec przyszedł na świat w samo południe, pod słońcem stojącym w najwyższym punkcie nieba. Budowa świątyni trwała dwadzieścia siedem standardowych lat i choć rasy z całej galaktyki przybywały na Antares III, by ją podziwiać, Maloth wydał dekret, na mocy którego ani obcy, ani niewierni nie mieli do niej wstępu, by nie bezczęścili świętych korytarzy swoją obecnością...

Mężczyzna, kobieta i dziecko wychodzą ze Świątyni Uświęconego Słońca. Kobieta trzyma przy oku aparat, robiąc kilkanaście małych oryginalnych ujęć tego samego widoku. Dziecko, nad którego górną wargą widnieje kilka włosków rzekomo świadczących o dojrzałości, nawet na chwilę nie podnosi wzroku znad gry na kieszonekowym komputerze. Mężczyzna rozgląda się sprawdzając, czy nikt go nie widzi, po czym przydeptuje bezdymne cygaro i przyspiesza kroku, dołączając do pozostałej dwójki.

Zbliżają się do mnie, a ja robię co w mojej mocy, by wtopić się w otoczenie i wcisnąć w marmurowe ściany i kamienne chodniki, nim się odezwą.

Jestem niewidzialny. Nie widzicie mnie. Po prostu przejdziecie obok.

- Ty, koleś... szukamy przewodnika - rzuca mężczyzna.

- Zainteresowany?

Powstrzymuję westchnienie i kłaniam się nisko.

- Jestem zaszczycony - mówię, ciesząc się, że nie pojmują niuansów antaryjskiej odmiany.

- O rety! - wykrzykuje kobieta, kierując aparat w moją stronę.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego! Prawie złożyłeś się na pół! Możesz to powtórzyć?

Przypomina mi się pradawna legenda, zapewne nieprawdziwa, ale ja w nią wierzę. Pewien ambasador, równie zafascynowany ruchomością antaryjskich stawów, poprosił Komaritha I, założyciela Trzydziestej Ósmej Dynastii, o powtórny ukłon. Komarith odpowiedział jedynie spojrzeniem i trwał tak w bezruchu, aż zawstydzony ambasador oddalił się chyłkiem. Władca rządził jeszcze przez dwadzieścia dziewięć lat, ale już nigdy się nie ukłonił.

Wiele czasu minęło od rządów Komaritha, niemal siedem milionów, w trakcie których Antares i wszechświat ulegli zmianom. Kłaniam się kobiecie, a ona cyka te swoje holografie.

- Jak się nazywasz? - pyta mężczyzna.

- Nie bylibyście w stanie wymówić mojego imienia - odpowiadam. - Gdy oprowadzam przedstawicieli waszej rasy, zwę się Hermesem.

- Herman, tak?

- Hermes - poprawiam.

- Jasne. Herman.

Chłopak odrywa wreszcie wzrok od ekranu.

- Tato, powiedział Hermes.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

- Wszystko jedno. - Zerka na czasomierz. - No, pora zaczynać.

- Właśnie - wtrąca dziecko. - Po południu nadają mecz z Roosevelta III. Muszę na niego zdążyć.

- Sport możesz sobie zawsze obejrzeć - mówi kobieta. - A to może być jedyna okazja, byś zwiedził Antares.

- Normalnie umieram ze szczęścia - mamrocze chłopak, ponownie skupiając się na komputerze.

Niemal z pamięci recytuję mowę powitalną.

- Pozwólcie, że powitam was na Antaresie III oraz w jego stolicy, Kalimetrii, znanej w całej galaktyce jako Miasto Miliona Iglic.

- Nie widziałem miliona iglic, kiedy tu lecieliśmy z kosmodromu - stwierdza dziecko, choć przysięgłbym, że wcale mnie nie słuchało. - Co najwyżej tysiąc, czy dwa.

- Ale niegdyś był ich milion - wyjaśniam. - Obecnie zostało zaledwie szesnaście tysięcy trzysta cztery. Wszystkie z kwarcu lub kryształu. Późnym popołudniem, gdy słońce jest już nisko, działają jak pryzmaty i zalewają ulice miasta powodzią egzotycznych kolorów. Rasy zamieszkujące pół galaktyki przybywają tu, by tego doświadczyć.

- Szesnaście tysięcy - mruczy kobieta. - Ciekawe, co się stało z resztą.

Nikt nie wiedział, czemu akurat iglice były dla Antaryjczyków tak atrakcyjne wizualnie. Górowały nad miastem, rzucając cienie i malując krajobraz mieniającymi się kolorami. Wysmukłe, delikatne, cudowne, odzwierciedlały wyjątkową doniosłość wizji oraz wrażliwość ducha. Zbudowanie miliona iglic zajęło władcom Antaresu III niemal trzydzieści osiem tysięcy lat.

Podczas Drugiej Inwazji, kanforytańskiej armadzie wystarczyły niecałe dwa tygodnie, by zniszczyć wszystkie za wyjątkiem szesnastu tysięcy trzystu czterech...

Kobieta nadal podziwiała iglice widoczne w oddali. W końcu pyta, kto je zbudował, jak gdyby były zbyt piękne, by mogli je stworzyć Antaryjczycy.

- Wszystko, co dziś zobaczycie stworzyli rzemieślnicy mojej rasy - odpowiadam.

- Sami?

- Czy tak trudno w to uwierzyć? - pytam łagodnie.

- Nie - stwierdza obronnym tonem. - Naturalnie, że nie. Tylko że jest tego tak dużo...

- Kalimetrii nie zbudowano w dzień, rok, czy nawet w milenium - zauważam. - To wspólne osiągnięcie czterdziestu trzech antaryjskich dynastii.

- Więc teraz mamy Czterdziestą Trzecią Dynastię? - pyta.

To Zelorean IX oficjalnie ogłosił Kalimetrię Wiecznym Miastem. Ani wojny, ani powstania nigdy nie zagrażały jej bezpieczeństwu i nawet strzeliste świątynie jego przodków dawały wszelkie podstawy do tego, by wierzyć, iż miasto przetrwa wieczność. Był to Złoty Wiek i

władca nie widział powodu, by sądzić, że mógłby nie trwać wiecznie...

- Ostatni władca absolutny Czterdziestej Trzeciej Dynastii obrócił się w proch już niemal trzy tysiące lat temu - wyjaśniam.

- Od tamtego czasu rządził nami szereg najeźdźców, przy czym każda nowa rasa zastępowała poprzednią.

- Jakie szczęście, że nie zburzyli budynków - stwierdza kobieta i odwraca się, by podziwiać fontannę z wodą do picia, która z niezrozumiałych przyczyn jawi jej się jako mistyczny, obcy artefakt. Już ma pstryknąć holo, gdy powstrzymuje ją syn.

- Mamo, to tylko głupie poidło - mówi.

- Ale jakie fascynujące - odpiera kobieta. - Tylko pomyśl, jakie istoty korzystały z niego w minionych wiekach.

- Spragnione - rzuca znudzone dziecko.

Kobieta je ignoruje i zwraca się w moją stronę.

- Jak mówiłam, to zbrodnia odzierać galaktykę z takich skarbów.

- Właśnie, ale *ktos* zniszczył niektóre budynki - wtrąca się dzieciak, który najwyraźniej uwielbia wszystkim udowodnić, że się mylą. - Pamiętacie tę dziurę w ziemi, którą tam widzieliśmy?

- Wskazuje w kierunku Śladu Stopy. - Mnie to wygląda na lej po bombie.

- Mylisz się - wyjaśniam, prowadząc ich we wskazane miejsce. - Zawsze tu był.

- To tylko duży lej krasowy - stwierdza mężczyzna, na którym nie wywiera to żadnego wrażenia.

- Mój lud czci go jako Ślad Boskiej Stopy - wyjaśniam.

- Pewnego razu, wiele eonów temu, Kalimetria zmagala się z kilkuletnią suszą. W końcu Jorvash, nasz najwyższy kapłan, zao-

ferował Bogu własne życie w zamian za deszcz. Bóg odparł, że deszcz nie spadnie, póki sam nie zaszlocha, a nie wycierpieliśmy jeszcze wystarczająco wiele, by doprowadzić Go do łez współczucia. Obiecał jednak, że zawrze z Jorvashem umowę.

- Przerywam dla większego efektu, ale mężczyzna tylko zapala kolejne cygaro, a dziecko skupia się na komputerze. - Następnego ranka Jorvasha znaleziono martwego w świątyni, a Bóg zostawił tu odcisk stopy i nappełnił go wodą. Wystarczyło jej do czasu, gdy znów zapłakał.

Kobieta wygląda na podenerwowaną.

- Hmm... bardzo przepraszam - mówi w końcu - ale czy mógłbyś powtórzyć tę historię? Nie włączyłam nagrywania.

Mężczyzna wygląda na zażenowanego.

- Zawsze zapomina włączyć to cholerstwo - wyjaśnia i rzuca mi monetę. - To za fatygę.

Lobilia był największym poetę w historii Antaresu III. Choć zmarł za panowania Dwudziestej Trzeciej Dynastii, większość jego utworów przetrwała. Ale jego największe dzieło, „Długa noc wygnania” - epepeja opowiadająca o wygnaniu Bogaty i jego triumfalnym powrocie - przepadła na zawsze.

Choć był najstłynniejszym bardem swej rasy, Lobilia był analfabeta, niezdolnym nawet się podpisać. Jego poezja była improwizacją, którą doskonalił podczas każdej kolejnej recytacji. Swoją epepeję wyrecytował tylko raz i był z niej tak zadowolony, że odmówił powtórzenia jej skrybom czekającym na wersję ostateczną, przez co nigdy nie została zapisana.

- Dziękuję - mówi kobieta, wyłączając nagrywanie, gdy kończę. Chwilę milczy. - Można kupić jakąś książkę z waszymi niezwykłymi legendami ludowymi?

Postanawiam nie wyjaśniać różnicy między legendą ludową, a artykułem wiary.

- Można je nabyć w sklepie z upominkami w hotelu - odpowiadam.

- Mało masz jeszcze książek? - mamrocze mężczyzna.

Kobieta piorunuje go wzrokiem, ale nic nie mówi, a ja prowadzę ich do Grobowca, który zawsze robi wrażenie na zwiedzających.

- Oto Grobowiec Bedoriana V, największego władcy Trzydziestej Siódmej Dynastii - mówię. - Bedorian był plebejuszem, zwykłym rolnikiem, który obalił cieszącego się złą sławą Ma-elastriego XII, potężnego wojownika, ostatniego władcę Trzydziestej Szóstej Dynastii. To właśnie Bedorian wprowadził edukację powszechną dla wszystkich Antaryjczyków.

- A co było wcześniej?

- Aż do panowania Bedoriana nasze kobiety nie dostępowały zaszczytu poznania sztuki czytania i pisania.

- A jak facet zginął? - pyta mężczyzna, którego tak naprawdę to nie obchodzi, ale nie chce, żeby kobieta się odzywała.

- Bedoriana zamordował jeden z jego zwolenników - odpowiadam.

- Na pewno mężczyzna - stwierdza kobieta cierpko.

- Przed śmiercią - mówię dalej - bez jednej bitwy zjednoczył trzy walczące ze sobą kraje, wydał zarządzenie mówiące, iż wszyscy Antaryjczycy powinni używać wspólnego języka i zakazał kultu *kreneksów*.

- Co to są *kreneksy*?

- To jadowite gady. Nim Bedorian V doszedł do władzy, zabiły wielu wiernych w trakcie nienazwanych, obscenicznych ceremonii.

- Serio? - pyta chłopak, żywo zainteresowany. - Jak to wyglądało?

- Co obsceniczne dla jednych, innym wydaje się po prostu nudne - oznajmiam. - Dla Ziemiaków to nuda. - Co akurat nie jest prawdą, ale nie mam najmniejszej ochoty patrzeć, jak dzieciaki rżę ze śmiechu, gdy opisuję te rytuały.

- Szkoda - mówi kobieta, choć w jej głosie słychać ulgę. - Swoją drogą, świetnie znasz tutejszą historię.

Chcę jej powiedzieć, że wszystko zmyślam, ale boję się, że mi uwierzy.

- Gdzie się tego wszystkiego nauczyłeś? - pyta.

- Aby zostać licencjonowanym przewodnikiem - odpowiadam - Antaryjczyk musi uczyć się przez czternaście lat i płynnie mówić co najmniej czterema obcymi językami, w tym obowiązkowo ziemskim.

- No, to są referencje - stwierdza mężczyzna. - Ja przebrnąłem tylko przez rok szkoły dentystycznej i zrezygnowałem.

A jednak to ty mi płacisz.

- Dziwię się, że nie pracujesz na którymś z miejscowych uniwersytetów - mówi dalej.

- Kiedyś pracowałem.

To prawda. Ale mam rodzinę na utrzymaniu, a napiwki od turystów, choć niewielkie i niechętnie wręczane, i tak przewyższają pensję wykładowcy.

Rapu - antaryjskie dziecko - wciska się pomiędzy mnie, a moich klientów. Na pewno ledwo co zaczęło chodzić. Ubrane jest w łachmany, a twarz usmarowaną ma brudem. Na pokrytych siateczką płatach skóry jętrzą się otwarte rany, a jego złote oczy nieustannie wypełniają się łzami. Płaczliwie błaga w języku ojczystym o kredyty. Gdy turyści nie reagują, wyciąga dłoń w uniwersalnym geście mówiącym: *Jesteście bogaci. Ja*

jestem biedny i głodny. Dajcie mi pieniądze.

- To twoje? - pyta mężczyzna, marszcząc brwi, a kobieta natychmiast pstryka pół tuzina holosów, jeden po drugim.

- Nie, nie moje.

- Co tu robisz?

- Mieszka na ulicy - odpowiadam, a moje współczucie dla *rapu* zastępuje wstyd, że muszę wyjaśniać jego obecność i sytuację. - Prosi o monety, żeby z matką nie szli dziś spać głodni.

Patrzę na *rapu* i myślę ze smutkiem: *Najważniejsze, by trafić na właściwy moment. Niegdyś, bardzo dawno temu, przemierzaliśmy swój świat niczym bogowie. Za panowania żadnej z czterdziestu trzech dynastii byś nie głodował.*

Ludzkie dziecko spogląda w twarz swojego antaryjskiego odpowiednika. Zastanawiam się, czy wie, jakie ma szczęście. Twarz chłopaka nie zdradza żadnej z jego myśli; może w ogóle ich nie ma. W końcu zaczyna dłubać w nosie i wraca do komputera.

Mężczyzna gapi się na *rapu* przez chwilę, po czym rzuca mu dwukredytową monetę. *Rapu* chwyta ją, kłania się, błogosławi mężczyznę i ucieka. Patrzymy, jak się oddala. Unosi monetę nad głowę, krzycząc coś radośnie i chwilę później otacza nas kolejnych czterdziestu uliczników, brudnych, głodnych i błagających o monety.

- Co za dużo, to niezdrowo! - stwierdza poirytowany mężczyzna. - Herman, powiedz im, żeby się stąd wyniosły i poszły do domu.

- Mieszkają tutaj - wyjaśniam łagodnie.

- Tutaj? - pyta mężczyzna i tupie głośno, na co najbliższe *rapu* odskakują z przerażeniem. - Dokładnie w tym miejscu? Dobra, to powiedz im, żeby zostały tu, gdzie mieszkają i niech za nami nie leżą.

W swoim języku wyjaśniam *rapu*, że ci turyści nie dadzą im

monet.

- Więc pójdziemy do brzydkiego, różowego hotelu, w którym mieszkają wszyscy ludzie i okradniemy ich pokoje.

- To już mnie nie obchodzi - stwierdzam. - Ale jeśli ktoś was złapie, poniesiecie surową karę.

Najstarszy z łobuzów kwituje moje ostrzeżenie uśmiechem.

- Jeśli ktoś nas złapie, zamkną nas za kratkami i jak to w więzieniu, będą musieli nas karmić i będziemy chronieni przed deszczem i zimnem, a to znacznie lepsze od życia tutaj.

Nie mam odpowiedzi dla *rapu*, których jedynym pragnieniem jest, by było im ciepło i sucho i żeby nie czuły głodu, więc tylko wzruszam ramionami. Odbiegają, śmiejąc się i śpiewając, jak ludzkie dzieci idące się pobawić.

- Cholerni obcy! - mruczy mężczyzna.

- To niewłaściwe określenie - mówię.

-Tak?

- Kwestia semantyki - wytykam delikatnie. - *Oni* są miejscowi. *Wy* jesteście obcy.

- W takim razie mogliby się nauczyć nieco manier od nas, obcych - rzuca ze złością.

Wchodzimy długimi schodami do Grobowca i już mamy wejść do środka, gdy kobieta się zatrzymuje.

- Chciałabym zrobić holo waszej trójki przed wejściem - oznajmia i uśmiecha się do mnie. - Taki dowód dla znajomych, że tu byliśmy i spotkaliśmy prawdziwego Antaryjczyka.

Mężczyzna podchodzi do mnie i staje obok. Dziecko niechętnie przechodzi na drugą stronę.

- A teraz obejmij Hermana - nakazuje kobieta. Dziecko cofa się, a jego twarz zdradza pogardę i odrazę.

- Mogę z tym czymś pozować, ale na pewno tego nie dotknę!

- Rób, co mówi matka! - warczy mężczyzna.

- Nie ma mowy! - rzuca chłopak i naburmuszony schodzi na dół. - Chcesz się do niego przytulać, droga wolna!

- Posłuchaj mnie, młodzieńcze! - krzyczy mężczyzna, ale chłopak się nie zatrzymuje, ani w żaden inny sposób nie okazuje, że słyszał jego słowa. W końcu znika za świątynią.

To Tcharock, założyciel Trzydziestej Dynastii, wydał dekret, na mocy którego osoba cesarza była święta i nie mógł jej dotknąć nikt poza medykami i nałożnicami, a i to wyłącznie za jego zgodą.

Jego wielkim doradcę był Chaluba, który rozszerzył panowanie Tcharocka na ponad osiemdziesiąt procent planety i zatrzymał hiperinflację, pozostawioną w spadku przez Dwudziestą Dziewiątą Dynastię.

Pewnego wieczoru, w trakcie pełnienia swych obowiązków, Chaluba przez nieuwagę musnął Tcharocka, przedstawiając ambasadora z odległego Domaru.

Następnego ranka, Tcharock z żalem dał sygnał katowi i Chaluba został ścięty. Pomimo swych niefortunnych początków, Trzydziesta Dynastia przetrwała tysiąc sześćdziesiąt dwa standardowe lata.

Zawstydzona kobieta zaczyna mnie przepraszać. Ale widzę, że i ona unika kontaktu fizycznego. Mężczyzna idzie za synem, po kilku chwilach obaj wracają. I bardzo dobrze, bo kobieta zaczęła się powtarzać.

Mężczyzna popycha chłopaka w moją stronę, a ten, obrażony, przeprasza. Mężczyzna groźnie rusza w jego stronę i dzieciak niechętnie wyciąga dłoń. Chwytam ją na chwilę - dla mnie ten kontakt nie jest wcale przyjemniejszy niż dla niego - i

wchodzimy do Grobowca. Są tam już dwie inne grupy, ale dzielą je od nas setki metrów, więc nawet nie słyszymy ich przewodników.

- Na jakiej wysokości jest sufit? - pyta kobieta, kierując aparat w stronę wyjątkowych rzeźb nad naszymi głowami.

- Trzydziestu ośmiu metrów - mówię. - Sam Grobowiec ma dwieście trzy metry długości i sześćdziesiąt siedem metrów szerokości. Ciało Beldoriana V spoczywa w rozległej krypcie pod podłogą. - Przerывam, jak zawsze zamyślając się nad minioną chwałą. - W Dniu Żałoby, gdy Grobowiec został ukończony, milion Antaryjczyków stał cierpliwie w kolejce na zewnątrz, by pożegnać zmarłego.

- Nie chcę, żeby moje pytanie zabrzmiało głupio - mówi kobieta - ale dlaczego wszystkie budynki są tu takie ogromne?

- Ego - podsuwa mężczyzna z przekonaniem.

- Stwórca Wszystkich Rzeczy jest olbrzymi - wyjaśniam.

- Więc mój lud uznał, że pomniki wznoszone na Jego cześć po winny być jak największe, by było Mu w nich wygodnie.

- Sądziecie, że wasz Bóg nie znalazłby małego budynku albo się w nim nie zmieścił? - pyta mężczyzna z protekcyjnym uśmiechem.

- Jest Bogiem wszystkich - odpowiadam. -I choć oczywiście bez problemu znalazłby mniejszą świątynię, czemu mielibyśmy Go zmuszać, by w takiej zamieszkał?

- A Beldorian miał żonę? - pyta kobieta, której umysł powrócił już do prostszych rozważań.

- Pięc - odpowiadam. - Sąsiedni grobowiec znany jest jako Miejsce Spoczynku Żon Beldoriana.

- Był poligamistą? Kręcę głową.

- Nie. Po prostu przeżył pierwsze cztery królowe.

- Musiał umrzeć w bardzo sędziwym wieku - stwierdza kobieta.

- Nie - odpieram. - Mój lud wierzy, że ci, którzy osiągnęli wielkość w sferze publicznej, skazani są na niepowodzenia w życiu prywatnym. Taki był właśnie los Beldoriana. - Odwracam się w stronę dziecka, które milczy od powrotu i mówię, że chętnie odpowiem na jego pytania, ale chłopak tylko posyła mi gniewne spojrzenie.

- Kiedy to zbudowano? - pyta mężczyzna.

- Beldorian V zmarł sześć tysięcy trzysta dwa standardowe lata temu. Przez kolejnych siedemnaście budowano i przygotowywano Grobowiec.

- Sześć tysięcy trzysta dwa lata - zamyśla się mężczyzna.

- To długo.

- Jesteśmy starą rasą - odpowiadam z dumą. - Pewien ludzki antropolog szacuje, że nasza Trzecia Dynastia została założona, nim wasi przodkowie przekroczyli ewolucyjną barierę, po której zyskali wrażliwość.

- Może i spędziliśmy dużo czasu na drzewach - stwierdza niewzruszony mężczyzna nieco obronnym tonem. - Ale patrz, jak szybko was przegoniliśmy, gdy już z nich zeszliliśmy.

- Jeśli tak twierdzicie - rzucam wymijająco.

- W zasadzie to wszyscy was przegonili - upiera się. - Wystarczy przyjrzeć się faktom: ile razy podbito Antares?

- Nie jestem pewien - kłamię, gdyż to dla mnie upokarzający temat.

Gdy Antaryjczycy dowiedzieli się, że Republika Ludzka chce zaanektować ich świat, zebrali wojska w Zanthu, a następnie w sile trzystu tysięcy pomaszerowali na pole bitwy. Była to śmietanka młodych wojowników

planety, złotookich, z pokrytymi siateczką płatami skóry połyskującymi w porannym słońcu, gotowych bronić ojczyzny.

Republika wysłała jeden statek, który przeleciał na dużej wysokości, zrzucił jedną jedyną bombę i w ułamku sekundy an-taryjska armia przestała istnieć, tak samo jako Zanthu i Wielka Biblioteka w Cthstoce.

Na przestrzeni mileniów Antares czterokrotnie podbijali ludzie, dwukrotnie przybysze z Canphor Twins, a raz Lordin XI, Em-ra, Ramor oraz Imperium Settyjskie. Mówiono, że spalona ziemia ugasiła wreszcie pragnienie, wypijając morze antaryjskiej krwi.

Wychodząc z Grobowca, trafiamy na drobne, chude *rapu*. Siedzi na kamieniu i wpatruje się w nas ogromnymi, złotymi oczami, zatopione w myślach.

Ludzkie dziecko ostentacyjnie je ignoruje i idzie w stronę kolejnej świątyni, ale dorośli przystają.

- Jakie urocze maleństwo! - zachwyca się kobieta. - Wy głąda na bardzo głodne. - Sięga do torebki i wyjmuje batonik, który został jej ze śniadania. - Masz - mówi, wyciągając go przed siebie. - Chcesz?

***Rapu* nawet nie drgnie. To zachowanie wydaje się niezwykle nie tylko kobiecie, ale i mnie, gdyż dziecko jest wyraźnie niedożywione.**

- Może tego nie trawi? - sugeruje mężczyzna. Wyjmuje monetę, podchodzi do *rapu* i wyciąga dłoń. - Masz, mały.

***Rapu* o twarzy zastygłej w zadumie nawet nie próbuje wziąć jałmużny.**

I nagle myślę podekscytowany: *Gardzisz ich jedzeniem, choć jesteś głodny i pieniędzmi, choć jesteś biedny. Czy to*

możliwe, byś był Tym, którego oczekiwaliśmy przez tyle mileniów? Tym, który przywróci nam dawną chwałę i da początek Czterdziestej Czwartej Dynastii?

Baczenie mu się przyglądam i moje podekscytowanie gaśnie równie szybko, jak się pojawiło. *Rapu* wcale nie gardzi ich jedzeniem i pieniędzmi. Jego złote oczy przesłania mgła. Życie na ulicy tak je osłabiło, że oślepiło, a naturalnie nie rozumie, co mówią do niego ludzie. Źródłem jego pozornej arogancji nie jest duma, ani wewnętrzne światło, ale fakt, iż nie jest świadomy ich darów.

- Proszę - mówię i delikatnie odbieram kobiecie batonik, starannie unikając kontaktu z jej palcami. Podchodzę do *rapu* i wkładam mu jedzenie w dłoń. Wącha je, a następnie połyka zachłannie i wyciąga rękę, po omacku błagając o więcej.

- Serce się kraje - stwierdza kobieta.

- E tam, na Bareimusie V widzieliśmy gorsze rzeczy - odpiera mężczyzna. - Tamci byli tak samo biedni... a pamiętasz tę straszną chorobę skóry, na którą cierpieli?

Kobieta zastanawia się, a wyraz jej twarzy zdradza, że to bardzo nieprzyjemne wspomnienie.

- W sumie masz rację. - Wzrusza ramionami i widać, że choć dziecko z wyciągniętą dłonią wciąż jest przed nami, już wyrzuciła je z myśli.

Prowadzę ich przez Ogród Zaginionych Książąt, spowity pełną cierpienia historią o poświęceniu i intrydze, gdy nagle mężczyzna się zatrzymuje.

- Co tam się stało? - pyta, wskazując szereg pustych cokołów.

- Historia - wyjaśniam. - Lub chciwość, czasem na jedno wychodzi. - Wygląda na zdezorientowanego, więc mówię dalej: - Gdy tylko najeźdźcy byli w stanie wywieźć skarby na swoją planetę, tak właśnie robili. Wszystko na tyle małe, by dało się zrabować, zostało zrabowane.

- A te poniszczone rzeźby? - mówi, wskazując je palcem.
- Zniszczyliście je sami, żeby wrogie armie uznały je za bezwartościowe?
 - Nie - odpowiadam.
 - W każdym bądź razie ten, kto zrobił *coś takiego* - wskazuje rzeźbę bez głowy - zasłużył na baty.
 - O co tyle hałasu? - pyta dziecko znudzonym głosem.
- To tylko rzeźby obcych.
 - Człowiek, który to zrobił, otrzymał w nagrodę urząd gubernatora Antaresu III - informuję.
 - Jak to? - pyta mężczyzna.
 - Drugim ludzkim podbojem Antaresu dowodziła komandor Lois Kiboko - zaczynam mówić. - Oszpeciła i zniszczyła ponad trzy tysiące posągów. Wiele z nich przedstawiało naszego boga, a jako że pani komandor i jej załoga byli żarliwymi wyznawcami jednej z waszych religii, uznała, że należy zniszczyć fałszywych bożków.
 - Cóż - mężczyzna w odpowiedzi wzrusza ramionami - to niewielka cena za to, że ocaliła was przed Lodinitami.
 - Możliwe - rzucam. - Problem w tym, że wraz z każdym kolejnym wybawcą płaciliśmy wyższą cenę.
- Mężczyzna wpatruje się we mnie i zapada niezręczna cisza. W końcu proponuję zwiedzanie Pałacu Najwyższego Tyrana.
 - Sprawiacie wrażenie takiej potulnej rasy - stwierdza kobieta z zakłopotaniem. - Znaczy się, jesteście tacy cywilizowani i pozbawieni agresji. Jak z waszej puli genów mógł powstać zwyczajny, prawdziwy tyran?
- Prawda jest taka, że nasza pula genów była znacznie agresywniejsza, nim na pozór nieskończona seria obcych podbojów jej nie zdziesiątkowała. Ale wiem, że ta odpowiedź byłaby dla nich krępująca i mogłaby wpłynąć na wysokość mojego napiwku,

więc postanawiam skłamać. (I ze wstydem muszę przyznać, iż okłamywanie obcych z każdym dniem przychodzi mi coraz łatwiej. W zasadzie zadziwia mnie łatwość, z jaką wymyślam te kłamstwa).

-Od czasu do czasu w każdej rasie trafia się jakaś mutacja genetyczna - wyjaśniam i wiem, że ona w to wierzy - a my, Antaryjczycy, jesteśmy, jak to ujęłaś, na tyle potulni, że taka zmutowana jednostka nie miała najmniejszego problemu z przejęciem władzy.

- Jak miał na imię?

- Nie wiem.

- Myślałam, że całe czternaście lat studiowałaś historię z zważą kobieta oskarżycielsko i widzę, że według niej kłamię, choć za każdym razem, gdy kłamałem, wierzyła mi.

- Nasz język ma wiele dialektów, które rozwijały się i zmieniały na przestrzeni trzydziestu sześciu tysięcy lat - stwierdzani.

- Niektóre udało nam się odszyfrować, ale wiele nadal stanowi zagadkę. Mogę powiedzieć, że w tej chwili zespół ludzkich archeologów prowadzi intensywne prace nad ustaleniem imienia Tyrana.

- Jeśli to martwy język, jak niby mają zamiar to zrobić?

- W czasach, gdy wasza rasa zamieszkiwała tylko jedną planetę, istniał artefakt zwany Kamieniem z Rosetty, który pomógł wam przetłumaczyć starożytne języki. Mamy coś podobnego, to Zwój Bosperyjski pochodzący z ery Wielkiego Tyrana.

- Gdzie ten Zwój? - pyta kobieta, rozglądając się dookoła.

- Z przykrością muszę stwierdzić, że zarówno archeologowie, jak i Zwój Bosperyjski znajdują się obecnie w muzeum na Delurosie VIII.

- Bardzo rozsądnie - stwierdza mężczyzna. - Na Delurosie można zapewnić lepszą ochronę.

- Przed kim? - pyta kobieta.

- Naturalnie przed tym, kto chce go ukraść - odpowiada mężczyzna, jak gdyby wyjaśniał to dziecku.

- Chodzi mi o to, kto chciałby ukraść klucz do martwego języka?

- A wiesz, jaką miałyby wartość dla kolekcjonera? - odpiera mężczyzna. - Albo dla złodzieja, który żądałby za niego okupu?

Dalej omawiają ten problem, a prawda jest taka, że Zwój znalazł się na Delurosie tylko i wyłącznie dlatego, iż był na tyle mały, by dało się go wywieźć. Gdy kończą kłótnię, tłumaczę kobiecie, że na Delurosie mają urządzenia, które pozwolą odczytać wyblakłe pismo, a ona kiwa głową ze zrozumieniem.

Przechodzimy kolejnych czterysta metrów i docieramy do olbrzymiego Pałacu Królów. Jest w całości zbudowany ze złota, które słońce nagrzewa tak bardzo, że zewnętrznej ściany można dotknąć wyłącznie nocą. To budynek, w którym zasiadali wszyscy władcy od Siódmej do Dwunastej Dynastii. To stąd moja rasa otrzymała Dziewięć Proklamacji Władzy, Kartę Praw Powszechnych i nasz najbardziej szanowany dokument, Deklarację Mabeliańską.

Cudowne to były czasy, w których nie zazналиśmy smaku porażki, a wszystkie problemy znajdowały rozwiązanie; kiedy to okazałe karawany przemierzały ziemię w obrębie bezpiecznych granic, a monarchowie byli prawi i mądrzy; kiedy to każdy dzień przynosił nowe zwycięstwa, a przyszłość stanowiła nieskończoną obietnicę.

Wskazuję połamane i zniszczone kamienne krzesło.

- Niegdyś w tron wprawionych było dwieście czterdzieści sześć klejnotów i kamieni szlachetnych.

Dziecko podchodzi do tronu, po czym posyła mi oskarżycielskie spojrzenie.

- Gdzie one są? - pyta.

- Zostały rozkradzione na przestrzeni mileniów - odpowiadam.

- Naturalnie przez najeźdźców - stwierdza kobieta z całkowitą pewnością.

- Zgadza się - mówię, ale to kolejne kłamstwo. Rozkradł je mój lud, by wymienić je u okupantów na jedzenie lub by opłacić uwolnienie swych ukochanych.

Jeszcze przez kilka minut podziwiamy minioną chwałę Pałacu Królów, a następnie udajemy się w stronę kolejnej popadającej w ruinę budowli. To Sala Myślicieli, do dziś czczona przez wszystkich Antaryjczyków, jednak wiem, że ludzie nie rozumieją, dlaczego jakaś rasa miałaby wznosić taki gmach na cześć nauki, a nie mam siły im tego wyjaśnić, więc mówię, że to Pałac Nałożnic, w co naturalnie wierzą. W pewnej chwili dziecko, nawet nie próbując ukryć rozczarowania, pyta, czemu nie ma żadnych posągów ani rzeźb ukazujących nałożnice, więc zmyślam na poczekaniu, że otwartość seksualna tych artefaktów obrażała uczucia religijne Lois Kiboko i komandor kazała je zniszczyć.

Czuję się winny z powodu tego kłamstwa, gdyż sugerowanie jakiegokolwiek uchybienia ze strony rasy przybyszów narusza Kodeks Należytego Zachowania. Jak na ironię, gdy dziecko daje upust swojemu rozczarowaniu zauważam, że cała trójka ze spokojem przyjęła do wiadomości fakt, iż jakiś człowiek zniszczył liczące tysiące lat dzieła sztuki tylko dlatego, że uraziły jego uczucia. Dochodzę do wniosku, że skoro oni nie mają wyrzutów sumienia, ten jeden raz też mogę ich nie mieć. (Choć sumienie nadal mnie dręczy. Jednak bardzo trudno uwolnić się od tradycji).

Widzę, że mężczyzna zaczyna przechadzać się nerwowo, zaglądając we wszystkie kąty i za postumenty, więc pytam, czy coś się stało.

- Gdzie kibel? - pyta.

- Słucham?

- Kibel. Łazienka. Toaleta. - Marszczy brwi. - Żadna z tych cholernych nałożnic nigdy nie chodziła się wysrać?

W końcu pojmuję, czego szuka i kieruję go do przybytku przygotowanego dla ludzi tuż za Zachodnimi Drzwiami.

Wraca po kilku minutach. Wyprowadzam ich na zewnątrz, gdzie mijamy Onyksowy Obelisk, symbolizujący początek niemal już zapomnianej Czwartej Dynastii. Przystajemy na chwilę w Świątyni Rzeki Światła, zbudowanej na rzece tak, by święte wody przepływały przez budynek.

Opuszczając Świątynię skręcamy i nagle cały krajobraz przesłania jedna struktura.

- Co to? - pyta kobieta.

- To Spiralna Rampa do Nieba - odpowiadam.

- Cudowna nazwa! - zachwyca się. - Na pewno łączy się z nią jakaś fantastyczna opowieść! - Odwraca się w moją stronę wy-czekująco.

- W czasach, gdy nasi naukowcy nie mieli tak rozległej wiedzy, sądziliśmy, że można dotrzeć do nieba, budując wystarczająco wysoką rampę.

Chłopak rechocze.

- To prawda - mówię dalej. - Budowa rozpoczęła się za panowania Drugiej Dynastii i trwała ponad siedemset lat, aż do połowy panowania Trzeciej Dynastii. Może się wydawać, że widać stąd szczyt, ale tak naprawdę patrzymy jedynie na dolną połowę. Resztę przesłaniają chmury.

- Ile ma wysokości? - pyta kobieta.

- Ponad dziewięć kilometrów - odpowiadam. - O trzy kilometry więcej niż nasza najwyższa góra.

- Niesamowite! - wykrzykuje kobieta.

- Chcecie obejrzeć ją z bliska? - proponuję. - Możecie nawet

wejść na górę jakiś kilometr. Do piątego kilometra podejście jest bardzo łagodne.

- Tak - odpowiada kobieta radośnie. - Z przyjemnością.

- Nigdzie nie będę włązić - oponuje mężczyzna.

- Daj spokój - zachęca go kobieta. - Będzie fajnie!

- Powietrze jest za rzadkie, przyciąganie za duże i cholernie przypomina to pracę. Któregoś pięknego dnia to ja ustalę plan podróży i wierz mi, nie będzie w nim żadnego łążenia.

- Możemy wrócić na mecz? - pyta dziecko niecierpliwie.

Mężczyzna obrzuca Spiralną Rampę do Nieba ostatnim spojrzeniem.

- Tak - stwierdza. - Już się napatrzyłem. Wracajmy.

- Naprawdę powinniśmy dokończyć wycieczkę - mówi kobieta. - Pewnie już nigdy nie zawitamy w te rejony galaktyki.

- I co z tego? To tylko jeden z wielu zadupiaстых światów - odpiera mężczyzna. - Nie mów znajomym o tych Schodach do Gwiazd, czy jak im tam, to nigdy się nie dowiedzą, że tam nie weszłaś.

Wtedy kobieta wysuwa w jej mniemaniu ostateczny argument.

- Ale już się zgodziłeś zapłacić za wycieczkę.

- To ją skrócimy i zapłacimy tylko połowę - stwierdza mężczyzna. - Wielkie mi co.

Wyciąga z kieszeni zwitek kredytów i wyjmuje z niego trzy banknoty dziesięciokredytowe. Chwilę się zastanawia, chowa je do kieszeni i wciska mi w dłoń banknot pięćdziesięciokredytowy.

- A, pal licho, wywiązałeś się z umowy, Herman - mówi. Następnie wraz z kobietą i dzieckiem kierują się w stronę hotelu.

Pierwszymi obcymi, którzy dotarli na Antares, byli

nieokrzescani i prymitywni barbarzyńcy, ale Perganian II, największy władca Trzydziestej Pierwszej Dynastii, rozkazał traktować ich z najwyższą uprzejmością. Gdy w końcu nadszedł dzień ich odlotu, obcy pożegnali się z Perganianem, a jeden z nich wcisnął w dłoń władcy wielki, nieskazitelny, błękitny diament jako zapłatę za jego gościnność.

Gdy obcy opuścili dziedziniec, Perganian upuścił diament na ziemię i oznajmił, że żadnego Antaryjczyka nie można kupić, bez względu na cenę.

Przez trzy pokolenia diament leżał tam, gdzie upadł, stając się świętym symbolem antaryjskiej godności i niepodległości. W końcu porwała go burza piaskowa i ślad po nim zaginął.

